

Późny wieczór, listopad – pogoda adekwatna do pory dnia i roku. Za oknem malowniczo przetaczają się śnieżne nawałnice przeplatane, mniej już malowniczymi, nawałnicami deszczu. Całość umiejętnie uzupełnia porywisty wiatr, hulający pomiędzy latarniami oświetlającymi pustą uliczkę. Cały ten spektakl podziwiam przez okno, lampką koniaku raz po raz umacniając swoje poczucie bezpieczeństwa. Na ulicy, rzekłbyś – brakuje tylko ducha, albo przynajmniej psa z kulawą nogą.

O! Skoro mowa o duchach – w świetle ostatniej latarni, częściowo oświetlającej mały skwerek przyklejający uliczkę do reszty miasta, pojawia się dziwna sylwetka. Mężczyzna, długi jakiś, chudy, w spodniach od pidżamy, bosy – wypisz wymaluj – uciekinier z wariatkowa. Drobnym truchcikiem, rozglądając się uważnie, przemyka się pod płotami. Powoli, lękliwie – ale jednak zdecydowanie. Co więcej – minął już sąsiada i wyraźnie zmierza do mojej furtki.

Przyglądam się zatem uważniej... Uważniej... Jezuuuuuu! Teraz dopiero włos zjeżył mi się na głowie. Sylweta przeskakuje wprawnie furtkę i kilkoma długimi susami wskakuje na mój ganek i zaczyna nawalać w drzwi.. Już nie ma wątpliwości – na ganku stoi i napieprza do drzwi mój kolega, znany literat i poeta – Wiktor. W duchy nie wierzę – no, nie wierzę. Ale prędzej spodziewałbym się umarlaka niż Witka. Z umarlakiem sprawa byłaby jasna; umarł, przepadł, teraz straszysz... Prościzna.

Ale z Witkiem nie jest tak prosta sprawa. Odwiedziłem go zaledwie wczoraj. Ot tak – z dawnej przyjaźni, na urodziny. Choć miałem wątpliwości, czy to ma sens. Witek od roku leżał całkowicie sparaliżowany. Kiedyś tam pomyliły mu się wajchy na motorze i razem z maszyną przeciął wóz konny na pół (zawsze był oryginalny – normalny śmiertelnik wyrębałby w ciężarówkę albo latarnię). Tak czy tak – pękła mu jakaś żyłka i masz... Roślina – zero kontaktu. Zrozumiałe zatem jest, że – obserwując jego wprawny skok przez furtkę i zestawiając ten widok z wczorajszym jeszcze, beznadziejnym stanem, poczułem się trochę... hm... irracjonalnie.

Duch nie duch, zawsze to kumpel. Otwieram drzwi i przemoknięty Wicia rzuca mi się na szyję. Szlocha, bełkoce coś... No i normalnie – telepie się z zimna i emocji. Ok, odzyskuję równowagę i przejmuję inicjatywę. Najpierw logistyka – Wicia do łazienki pod prysznic, ja przetrząsam szafy i wyciągam dla niego jakieś opakowanie zastępcze, nalewam koniaczku, kanapki, herbata... Czekam. Po chwili schodzi Wicia. Wykąpany, przebrany, uspokojony. Jak na ex-paralytyka – nawet w niezłej formie. Rozjaśnia się na widok kanapek i koniaczku. Nie dziwię się, przez rok jadał przez rurki... O koniaczkach nie wspomnę. Wicia zasuwa kanapki, popija koniaczkiem (a jak!), zapada się coraz mocniej w fotel. A ja czekam na wyjaśnienia. Wicia kanapkę – ja czekam. Wicia koniaczek – ja czekam. Wicia znów kanapkę i koniaczek... Zaraz mu jebnę! Po czwartej kanapce i siódmym koniaczku Wicia popada w letarg, podobny do stanu z ostatnich miesięcy. Zapada się w fotelu, zamyka oczy. Zagłębia się w sobie... Skurwiel – normalnie się urznął. Zasnął.

„Dobra, dobra – no już tłumaczę. No wiem, ale ten koniaczek... Kanapeczki... Człowieku! Można powiedzieć – od roku nie jadłem. No dobrze już! Przepraszam, ok? No, to od początku. Zresztą, początek to już znasz. Tak a’propos: nie wiesz za ile ta franca sprzedała mój motorek? Nie? Dobra, już wracam... Jak się wygiąłem i wylądowałem na marach, to Aga - żonka moja była, na pożegnanie wynajęła mi pielęgniarkę. Wiesz, że troszkę kasy na tych tomikach urobiłem, te prawa autorskie, teksty do piosenek i takie tam... Pamiętasz Marlenkę? Ze studiów. No taka ruda, egzaltowana cipka. Też coś tam pisała. Puknąłem ją kiedyś na Sylwestra u ciebie... No, no właśnie. Ta sama. Tak, tak – masz rację. Wczoraj ją u mnie widziałeś – to ta laseczka. Na marginesie – dzięki za odwiedziny. No tak, tak... wszystko słyszałem i czułem. Cały czas. W tym problem. Co? A tak, tak...

Na początku wszystko było ok. Z punktu widzenia paralytyka, oczywiście. Marlenka mnie obiegała jak złoto. Mówiła do mnie, czytała, karmiła, przewijała... Wiesz, okazało się, że na zabój jest we mnie

zakochana. Czujesz to? Taką sobie misję przyjęła. Dozgonna opieka, nieszczęśliwa miłość, poświęcenie. Ech... Masz jeszcze trochę koniaczku? No, nie bądź świnia. No? Dobra – do ad remu. Jak wspominałem, na początku było ok. Ale, rozumiesz, ta cipka ubzdurała sobie, że jako poeta i literat najbardziej cierpię z powodu braku obcowania z wierszami i takie tam... No i zaczęły się wieczorki poetyckie. Z początku było bezpiecznie i nawet miło. Jakieś tam Leśmiany, Szymborskie, Tuwimy. Zresztą – nie miałem wyboru. A niby czym miałem zaprotestować. Najgorzej, że z czasem naszło ją na czytanie własnych wierszy. No czaisz? Nie pisała od ręki, miała tego pełną szufladę. Szufladzisko chyba! Kufer! Inaczej mówiąc – towaru jej nie zabrakło. Sobie wyobraź - leżę jak baleron, nawet powieką nie ruszam, spać się nie chce. A ona we mnie: „oczu twych, blask księżycy, płomienie serca”. Kurwa – no daj się jeszcze napić! No! Jak z tego wyjdę, też stawiam flaszkę. Dobra, już mówię... To sobie teraz wyobraź. No właśnie! Żebym mógł chociaż stęknąć, paluchem ruszyć, nie wiem... A ona mnie tymi: „żarem miłości, łanów przestrzeni, głębią duszy”. O, tak tak - widzisz, widzisz. Autentyczne: „żarem miłości”! Zaraz, myślę sobie, wstanę w przypierdołę jej „stalowością pięści mych”. No horror, horror... Polej jeszcze. Dzięki, chłopie. Wczoraj miałem urodziny (a dziękuję... dziękuję...). No i przy okazji tych urodzin Marlenka wymyśliła super niespodziankę. Wieczór przy świecach, szeptanie na uszko i oczywiście, gwóźdź wieczoru – nowy poemat. Okazało się - cykl sonetów. Jeden bardziej grafomański od drugiego, jakby na matrycy bite... Przy trzecim i przy: „mego życia beznadzieja” – co mi pękło w czasce! Najpierw poczułem ciepło, potem siłę, zebrałem się w sobie i... siadłem na łóżku. Od razu w amoku! Siedziała trochę bokiem, nie zauważyła. Pierwszy pod ręką miałem ten kryształowy puchar. Ten wiesz... Tak, tak... Ten za festiwal religijny „W pieśni pokój duszy”. Polejesz? Dzięki... Krótko mówiąc, złapałem ten puchar o walnąłem ją w ten egzaltowany łeb. He...He... Aż się posypały „łzy kryształu mego”. W karku jej tylko coś chrupnęło i spłynęła na dywan. W pierwszym odruchu myślę – uciekać. Drzwi zamknięte. Moja muza na dywanie, pewnie ma klucz przy sobie. Ale brzydziłem się obszukiwać. Okno! Gitara – są rusztowania. Nawet nie wracałem, żeby się ubrać. Bałem się, że jeszcze coś wyduka. Sonet, sonecik, haiku... Zjechałem po rurach i... jestem. Dzień przevegetowałem w baraku na budowie jakiejś super-hiper-pilnej autostrady. Żywego ducha nawet. Ale głodno, zimno, strasznie – nawet nie było żadnych łańców na przebranie. Tylko takie małe drelichy, po dzieciach albo po jakiś Chińczykach... Pomyślałem o tobie. No, gdzie miałem iść? No gdzie? Pomożesz? Musisz pomóc! A jak ciebie też cos takiego spotka? Polej.”

Leżeć, kurwa! Leżeć – powiedziałem! Leżę – i tak nie mogę się ruszyć. Przeszkadza mi ogólnie słaba kondycja i zamaskowany goryl objuczony śmiercionośnym sprzętem wszelakiego rodzaju, który klęczy mi na klacie. Kątem oka dostrzegam bliźniaczego goryla wciskającego w dywan Witka. Też leży jak w bezruchu jak trup (ma wprawę). Powoli jarzę – to nie napad rabunkowy a normalna akcja jakiś antyterrorystów albo coś takiego. Już nas mają? Dopiero co wczoraj wieczorkiem ugościłem na swoje nieszczęście Witka – a oni już są. Jak w ruskim zegareczku – szósta rano. Gdyby nie to, że bolała mnie klata i powykręcane ręce – przyklasnąłbym sprawności naszych organów. Oba goryle profesjonalnie podnoszą nas za włosy na klacie i w mocno nieanatomicznej pozycji, prowadzą do ciupasa. No, to mnie Wiciu wrobił. Nie ma co!

Tajemnica szybkości działania organów wyjaśnia się nazajutrz. Życzliwy z wyglądu prokurator zarzuca nam pół Kodeksu Karnego; usiłowanie morderstwa, ucieczka z miejsca, nieudzielenie pomocy, ukrywanie przestępcy, opór przy aresztowaniu (ciekawe jak niby miałbym się dzudować z gorylem!) i parę mniejszych przewinień. No, przyznam sprawiedliwie, że Wicia był w tym względnie bardziej uprzywilejowany i jego lista prokuratorowi zajęła ciut dłużej. A czemu tak szybko i sprawnie? A proste! Nawiedzona Marlenka od lat bombardowała swoimi wierszykami jeden z portali pisarskich. Regularnie – codziennie jeden. Niezrównana w tym była. W dzień urodzin Witka i jego cudownego ozdrowienia, Marlenka ze zrozumiałych względów nie wrzuciła na portal swojego wierszyka. Admin był czujny –

zaraz wyczał, że coś się stało. To tak jakby słońce nie wzeszło. Zawiadomił policję o sytuacji a oni uznali sprawę za wiarygodną. Zresztą - okazało się, że środowisko literackie jest nieustannie inwigilowane i monitorowane przez policję. Uważają, że obfituje ono w dewiantów, a poza tym – przewalają się przez nie tak duże pieniądze – że warto tę ekipę mieć „na oku”. Raz, raz i ustalili co i jak... No i stąd zmilitaryzowane goryle w moim domu.

„Niewinny”. „Niewinny”. „Wyrok jest prawomocny”. Ble... ble... ble... Petunia non olet, a jeszcze pozwala wykaraskać się z nie byle jakich tarapatów. Wiciowi starczyło na dobrego i sprawnego adwokata. Pokombinował, pokombinował, znalazł paru rzetelnych i uczciwych biegłych, paru nieskazitelnych świadków którzy za odpowiednią łapówkę, spreparowali i potwierdzili wszystkie fakty i opinie. W rezultacie po dość szybkim i nieporadnym ze strony prokuratury procesie – słyszymy dziś te dwa boskie słowa: „niewinny”, „niewinny”. W zasadzie – wszystko działało na naszą korzyść. Po pierwsze – Marlenka nie umarła. Owszem, przywalił jej zdrowo, jednakże przeżyła. Spędziła kilka dni w letargu, przyszpilona do szpitalnego łóżka. Na szczęście dla niej - nie leżała w izolatce. Położono ją w pokoiku z jakąś scenarzystką filmową, pokiereszowaną w wypadku samochodowym (podobno przywaliła w stos kartonów po pizzy). Scenarzystka bełkotała coś bez przerwy - jakieś plany, scenariusze, opowiadania, dialogi... Marlenka nad podziw szybko się ocknęła i pomimo malowniczych kilku szwów na czaszce i opuchniętej gęby (a’la znajome mi, zmilitaryzowane goryle), poprosiła o wypis. Zaraz po wyjściu cofnęła też oskarżenie przeciwko Witkowi i publicznie przeprosiła go w prasie lokalnej. O wyniku procesu zadecydowało ostatecznie odczytanie kilku marlenkowych sonetów (tych urodzinowych). Ze względu na drastyczność dowodów – odczytanie odbyło się przy pustej sali. Pozwolono tylko pozostać dziennikarzom ponieważ biegli orzekli, że wiersze te owszem – mogą zaszkodzić, jednakże jedynie osobom posługującym się językiem polskim na poziomie przynajmniej podstawowym.

Wiosna. Późne popołudnie. Z koniackiem w rękę obserwuję przez okno perspektywę ulicy. Żywopłaty sąsiadów zaczynają już gęstnieć, pachnie ziemią z ogródków, ściemnia się i pora dnia rozbudza leniwe latarnie. Sielanka. Obserwuję, jak tuż pod moim domem dwójka wyrostków okłada pięściami jakąś staruszkę, która ostatnimi siłami podbiega do furtki i rozpaczliwie, alarmująco, przykleja się do dzwonka. Na szczęście, nie zdążyłem jeszcze zapalić światła na werandzie. Odsuwam się od firanki, siadam w fotelu, dolewam koniacku...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Bukowski, dodano 02.08.2012 09:19

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).